

Maria.

Światło wpadało do chałupy przez niewielkie, zakurzone okno. Jasna smuga podświetliła kurz, którego drobinki zdawały się tańczyć dla niej pod powalą. Jedyne ruchy. Nie licząc muchy, która siadała na kromce chleba posmarowanej masłem i dżemem truskawkowym. Maria przyglądała się jak mucha pociera swoje czarne, włochate kończyny. Rozsypany na podłodze talk na odleżyny połyskiwał śnieżną bielą.

Ciało Marii leżało bezwładnie na kozetce pod ścianą. Znała na pamięć pęknięcia sufitu i kropki od much na metalowej lampie zawieszanej pośrodku. W starym kredensie naprzeciwko łóżka zalegały bezużyteczne talerze i kubki. W słoikach z lekko pordzewiałymi deklami dryfowały ciemne wiśnie w zalewie z cukrem. Ostatnie zrobione przetwory. Pod oknem stół pomalowany białym lakierem i długa ława. Na niej obrus poszarzały w charakterystyczny haft z krzyżyków. Brązowe, czerwone i czarne stromki. Na taborecie obok łóżka metalowy kubek z zimną herbatą.

Maria sięgnęła po łyżeczkę i jabłko. Trzymając przed sobą, zeszkrobywała łyżeczką miąższ jabłka. Skrobina papki znikła w bezzębnych ustach. Inaczej zjeść nie umiała twardego owocu.

Na ramieniu spoczywał siwy, długi, cienki i matowy warkoczek. Przypominał Marii o jej urodzie, która przeminęła jak biel prześcieradła na którym spoczywało jej bezwładne ciało, a pod którym szeleściła żółta cerata.

Maria sięgnęła dłonią ściany. Palcami drążyła dziury, aż do słomy. Pocierała i skubała zabijając czas.

Ona uwielbiała ten moment kiedy wczesnym rankiem, w słoneczny dzień promyk słońca przesuwiał się po izbie. Maria wyczekiwała, kiedy dosięgnie jej twarzy. Zamykała wtedy oczy i lekko ku górze prężyła ciało. Zdarzało się, że w pochmurny dzień promyk nie przychodził. Sporo było takich dni. Maria nasłuchiwała kroków. Znała doskonale odgłosy opiekunki Zofii. Jej kroki były pospieszne i drobne. Brata Wasyła, który stapał ciężko zwykle otrzepując z butów gnój i błoto przed progiem. Córki Katarzyny, która zwykle przystawała przed drzwiami zanim je pchnęła. Maria słyszała doskonale jej głęboki oddech, który miał zapewne dodać sił zanim zobaczy bezwładną matkę.

Pierzyna odrzucona do tyłu obnażała na sienniku ociężałe nogi. Maria patrzyła na nie bezsilna. Czuła, jakby nie należały do niej. Zaciskała czasem palce na udach próbując je podnieść. Pamiętała swoje mocne, opalone nogi płasające zalotnego owięzioka. Na zgrabnych stopach miała wtedy kierpce z cielejącej skóry. Władek Macioła zalecał się do niej popisując śpiewem i, jak pamięta wtedy słono opłacił kapelę. Za Władka jednak nie wyszła, i dobrze. Rozpił się nadto i na koniec to na widły się nabił w niewyjaśnionych okolicznościach.

Kiedy ślub brała z Edkiem Kupczakiem mocne nogi niosły ją do ołtarza, a później prowadziły w tańcu kokotka, który oprowadzał ją, jako młodą mężatkę po całej zagrodzie. Opalone nogi przyjęły go nocą wtedy ochoczo, chociaż trzymała je na płasko, bo inaczej nie uchodziło. Kabotka też nie zdjęła wtedy jeszcze.

Potem zamężna Maria lubiła tańczyć przy okazji szkubaczków, wspólnego łuskania fasoli, czy obróbki lnu z innymi kobietami. Plotki i taniec były nagrodą za szorstkie, spracowane dłonie. Z czasem tasiemki przy kierpcach zamieniły się na wytrzymałe sznurki, które okręcały opuchnięte łydki. Później na nogach Maria nosiła tylko filcoki.

Bytowanie na zboczu nie należało do łatwych. Albo pod górę albo w dół. Wszędzie daleko, z brzuchem, dzieckami, bańkami, wiadrami, workami. Kiedy Maria szła z cebami nad potoczek przykucała nad brzegiem. Słuchała szumu wody. Czasem przykładła ucho blisko, a krople lodowatej wody osadzały się na jej twarzy. Pytała Maria tego potocka, co jej przyniesie. On zawsze odpowiadał tak samo, czasem tylko bardziej melodyjnie, kiedy topniał śnieg w promieniach pierwszego wiosennego słońca. Słyszała Maria o salach koncertowych na świecie, że są i śpiewają tam piękne panie ubrane w eleganckie suknie. Dla niej szum strumienia był takim koncertem. Na odchodne Maria brała kamień i ciskała nim w wodę. W ten sposób powracała z marzeń na ziemię, brała cebry i szła, już nie oglądając się za siebie.

Roki mijały na robocie. Najwięcej to się Maria nachodziła po Edka, bo w gospodzie ciągle siedział i do domu nie wracał. Cyrpokiem to raz nawet Edek dostał przez łeb od Marii, bo frajerkę miał. Znaczy się kochankę. Sporo łez Maria wytarła w smatkę wtenczas.

Ale teraz to się Marii ckni i przykrzy, i myśli Maria, żeby już skonać.

Nocy pewnej, kiedy miesioncek był w pełni Maria miała piękny sen, że tańczyła boso na mokrej trawie. Jej nogi były lekkie i same ją niosły. Z tego snu Maria już się nie wybudziła.

Pewnego wiosennego dnia idąc stromym zboczem wzdłuż strumienia znalazłam dom bez drzwi. Z kozetką w rogu, rozsypanym talkiem, filcokami i kulami przy łóżku, i wydrążonymi w oczekiwaniu dziurami w ścianie. Aż do słomy.